

Jadwiga Dąbrowska  
ul. Świerczewskiego 27 m 6  
18-400 ŁÓDŹ

© ARCHIWUM WSTĘPNE

II/83 Ł

WPLYNEŁO

dnia 18.7.82

Nr dziennika 103

*Dot. przysięgi + dowód, t. inż. o komendach - publik*

**SZEŚĆ LAT NA DALEKICH KRESACH**

(22)

W dniu 1.09.1939 roku mieszkałam w Wys.-Mazowieckiem. Mąż zorganizował naszą ewakuację przed Niemcami. Cały nasz życiowy dobytek załadował na trzy drabiniaste wozy i pojechałam z półtoraroczną córeczką w kierunku wschodnim. Jechałam razem z obcymi ludźmi. Mąż musiał załatwić sprawy ewakuacji urzędu skarbowego, kasy i dokumentów, gdyż był pracownikiem w/w urzędu.

Dojechałam aż za Kobryń. Tu straciłam cały swój dobytek. Zostałam tylko w jednej sukience z dzieckiem na ręku i w ciąży. Szczęśliwie spotkałam męża na węzłowej stacji w Żabińce na Polesiu między Brześciem a Kobryniem. Mąż mnie poszukiwał.

W Wysokiem Mazowieckiem dom nasz został zburzony całkowicie. Wróciłam więc do Łodzi i zamieszkałam u siostry, Marii Kamińskiej, przy ul. <sup>Polowej</sup> Polnej /obecnie Armii Czerwonej/.

W końcu września 1939 roku mąż był aresztowany przez NKWD. Znajdował się w więzieniu łódzkiej. Oskarżony był za kontrrewolucję i partyzantkę. Wyroki za takie przestępstwo mogły być dwa: kara śmierci lub bezterminowe więzienie.

Znajomi namawiali, abym uciekała z Łodzi, gdyż NKWD aresztuje rodziny, których mężowie zostali wzięci do więzienia. Nie mogłam zrozumieć za co mogliby mnie aresztować.

Pewnego dnia jesienią 1939 roku przyszedł do nas oficer rosyjski /nie pamiętam po co/ i zaczął rozmawiać ze mną, między innymi powiedział, że Polacy nie przyjmowali wojsko rosyjskie, lejąc "kipitok" na ich głowy i strzelając z okien. A ja bez zastanowienia powiedziałam: "po co przyszliście do nas, kto was prosi?".

**ARESZTOWANIE I WYWÓZ**

Rok 1940. 13 Lutego urodził mi się syn Janusz. Wieczorem 12 kwietnia, gdy kąpałam dziecko, miałam jakieś złe przeczucie. Układałam wszystkie drobiazgi dokładnie, aby mieć w razie czego wszystko pod ręką. W nocy z 12 na 13 kwietnia usłyszeliśmy złośliwie, mocne kołatanie do drzwi kolbami karabinowymi. Byli to żołnierze rosyjscy. Zaczęli robić rewizję. Czepiali się na piec. Zerwali gzyms, który runął obok głowy mojej ośmioletniej siostrzenicy, Eli, śpiącej. Ja stałam zdrtwiała z przerażenia.



Szperali i wywracali wszystko do góry nogami, wreszcie nie nie znalazłszy powiedzieli: "twój mąż to jest sfożecz i wróg narodu, a ty zbieraj się, będziesz wywieziona". Kazali zabierać wszystko co mam. A ja nie miałam nic prócz wiklinowego kożeczka, w którym spała moja córka dwuletnia, a w kołysce spał dwumiesięczny synek. Kilkakrotnie uparcie powtarzali "bierz co twoje". Siostra moja odeszła się do matki: Mamo jedź z Jadzią, bo ma za małe dzieci, aby móc pracować. Żołnierze powiedzieli, jeżeli matka rodzona, to może jechać. I biedna moja matka, Franciszka Leszczyńska, poświęciła się i wyraziła zgodę na zyskę ze mną, gdzie w ciągu sześciu lat miała wielkie bóle głowy, zgłędu i zimna, straciła wzrok prawego oka, a po powrocie do Polski została zupełnie niewidoma. Żyła z nami w Polsce jeszcze 20 lat. Cześć Jej pamięci!

Gdy się rozwidniało byliśmy gotowi do wymarszu. Gdy wychodziłam z domu czułam się jakąś winna, tylko za jaką winę i grzechy? Szłam otempiła na jakby nieswoich drewnianych nogach, bez domu, bez ratunku i opieki, nikomu niepotrzebna, ogłuszona. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Myśli moje błądziły gdzieś w szkolnych latach, gdy Polacy wywieżeni byli na Sybir i tam śginali wśród śniegów i mrozów i przypomniała mi się pierwsza zwrotka wiersza, autora nie pamiętam.

"Mamo, piszę do Ciebie ten list,  
Czy go czytać będziesz - nie wiem,  
Czy dojdzie - nie wiem,  
Chciałbym się spytać kwiątka  
Jak te się wróży listków rwaniem,  
Ale kwiaty umarły pod śniegu poskaniem  
I o losie tej kartki żaden nie nie powie."

Ja miałam matkę ze sobą. Ale zostawała siostra z dziećmi - z dwiema córkami: Anną i Elżbietą. A była mi drugą wprost matką, bo gdy byłam małą, to mnie doglądała, gdy matka chodziła do pracy. I ogarnął mnie poprostu jakiś wstyd. Dlaśggemnie gonią gdzieś w nieznane, wyciągają z domu. Nie wiedziałam jak znalazłam się w samechodzie ja, dzieci moje i matka moja. cserlon  
Znaleźliśmy się na stacji, gdzie oczekiwał na nas długi szereg wagonów bydłowych. Do jednego z nich załadowano nas. Wagon był wyposażony w dwupiętrowe pryce. Było w nim już sporo ludzi, których pierwszy raz w życiu widziałam. Wszyscy byli przerażeni sytuacją, w jakiej się znaleźli. Cały dzień oczekaliśmy na stacji.



Widziałam jak bez przerwy podwozili nowe rodziny aresztowane. Zaczęli zjawiać się ludzie znajomi, aby nas pożegnać, przynosząc nam różne drobne przedmioty i jedzenie. Przyszła moja serdeczna przyjaciółka, Maria Kozkowska, mieszkająca w tym czasie przy ul. Rybaki. Obecnie mieszka w Łomży przy ul. Sikorskiego. Przyniosła mi bańkę zupy, chleb, nożyce i manierkę z mlekiem. Pamiętam jak siostra przy pożegnaniu powiedziała: "Nie martw się, nie zginiesz, przecież tam też będą ludzie, może i Polacy". Słychać było lament, płacz, nawoływania i krzyki żołnierzy, odganających ludzi, którzy nas żegnali. Najgłośniej wyróżniały się komendy po rosyjsku i przekleństwa. Gdy wagony zostały pozamykane i pociąg ruszył, dopiero z piersi moich wyzwolił się szloch, gdyż zostaliśmy jak sieroty i choćbyśmy krzeczeli krzykiem okropnym i błagali o ratunek i gdybyśmy tu nawet umarli nikt nas nie usłyszałby ani siostra moja Maria, ani mój mąż Hieronim. Po szoku który trwał kilka godzin, dotarły wreszcie do mnie rozmowy ludzi zenną jadących.

Pani Buczyńska z Jedwabnego z sześciorgiem dzieci: Jurek, Irena, Wiesiek, Halina, Broniek i Heniek. Mąż Buczyńskiej, tak jak i mój mąż był wcześniej aresztowany, a w Jedwabnym pracował jako farman. Żydówka z Jedwabnego, Kobrzańska, z dwojgiem dzieci, w Jedwabnym miała mały sklepik, a mąż jej był szewcem, Laskowska Kazimiera ze wsi Rybaki koło Miastkowa, z dwoma córkami Lucyną i Anną oraz ze swoją teściową Laskowską Rozalią. Mąż Laskowskiej Rozalii umarł pierwszego dnia po przyjeździe do Graczevki, a mąż Kazimierzy wcześniej był wywieziony do Archangielska,

P. Zyskowska ze wsi Rybaki koło Miastkowa z dziećmi, które zaraz zmarły, p. Pardowa Bronisława z Nowogrodu z ośwórką dzieci: Mietek, Jurek, Gabrynia, Teresa oraz teściowa Konstancja Pardowa. Konstancja też pochowała męża w Graczevce.

Wszyscy zmarli chowani bez trumien, bo nie było desek.

Przez całą drogę modliliśmy się wszyscy, oddając się Bogu w opiekę.

Suszenie pieluszek odbywało się na piersiach moich i matki mojej pod płaszcami.

Gdy przekroczyliśmy granicę przed 1.09.1939r dostaliśmy bochenek chleba i czarną kawę bez cukru. Od tej pory dostawaliśmy chleb na każdym przystanku. Zauważyłam, że od tego momentu, z ochrony wojskowej jechało już tylko kilku żołnierzy. Mogliśmy mieć otwarte wagony.



Po przekroczeniu Uralu, na każdorazowym zatrzymaniu się pociągu, oczekiwała nas ludność rosyjska i proszą o chleb, a w zamian dawali kawałki mydła. Ja miałam chleb jeszcze z Polski, obdarowywałam proszących, chętnie brałam mydło, które później przydało się bardzo.

Dalej jechaliśmy przez bezkresne równiny, stepy, gdzie pełno było wody i gdzie nigdzie nie było śniegu. Widziałam dużo powalonego drzewa, moknącego w wodzie. Patrzyłam na obcy, nieprzyjazny świat przez małe, zakratowane okienko. Jechaliśmy dniem i nocą od 13.04.1950r do 1.05.1950r.

Nareszcie pociąg zatrzymał się i kazali wysiadać. Podniósł się niewiarygodny rwetes. Matki kurczowe trzymały dzieci za rączki lub na rękach.

Była to miejscowość: Kokczatał.

Tu czekały na nas samochody do dalszej podróży. Do samochodu wsiadła razem z nami p. Szestakowa z trzema córkami: Zoją, Genią i Józią.

Zoja Domańska miała dwoje małych dzieci. Mąż Szestakowej był woźnym w Łomżyńskim Magistracie.

Jechaliśmy cały dzień. Mijaliśmy kilka wiosek. Samochód zatrzymał się na <sup>skraj</sup> stacji wioski - Graczołka.

Obeony mój adres brzmiał: Siewiero Kazachstańska Obłast Airtauskiej rejon, Kamyński Sielsowiet <sup>Sielsowiet</sup> Sieło Graczołka.

Kazano wysiadać. Zbliżał się wieczór. Miejscowa ludność już na nas oczekiwała. Zaczęli się nam przyglądać, oglądać na wszystkie strony, jak dzikim z buszu. Zwracali baczność uwagę na bagaże przybyszów. Kilkakrotnie powtarzali: Polaki takie samej ludzi jak i my. Gdy im się ktoś podobał brali do swoich mieszkań..

Rodziny z małymi dziećmi byłybrane niechętnie. Widać było u nich zastraszenie i przymus. Gdy już zostałam sama z matką i dziećmi odczułam przykrość, że oglądają mnie jakbym była do sprzedania ja i moje bagaże i co jestem warta jako pracownica, a może niewelnica. Zauważyłam jednego Rosjanina, którego spodnie miały jedną nogawkę, a druga noga pozostała goła. A może niespełna rozumu. Myślałam sobie, dlaczego nie obciąż drugie nogawki. Nie widziałam że nie miał się w co ubrać. Dopiero później dowiedziałam się, że on miał żonę i drobne dzieci, hodował psy. Zabijał je. Mięso zjadał, a ze skór robił jakieś futra i rękawiczki zwane machnatki. Prawdopodobnie nę chciało się jemu pracować w kołchozie.